

Grudniowy spacer

2018 r.

KINGA JASKÓLSKA

Był piękny grudniowy poranek. Spacerowałam leśną drogą wraz ze swoim psem, owczarkiem niemieckim, Barym. W okresie między świętami, a Nowym Rokiem, bardzo mi się nudziło. Wszystkie moje koleżanki wyjechały do swoich rodzin na Święta Bożego Narodzenia, a ja postanowiłam spędzić je w tym roku u cioci Justyny. Wokół mnie rozciągał się wspaniały zimowy krajobraz. Śnieg skrzypiał pod moimi butami, a drzewa obsypane białym puchem sprawiały, że czułam się jak w bajce. Rozkoszując się pięknymi widokami, nie patrzyłam uważnie na drogę i szybko zdałam sobie sprawę, że zabłądziłam. Wyciągnęłam swojego Iphona. Chciałam wezwać pomoc, lecz mój telefon w zbyt niskich ujemnych temperaturach wyłącza się. Z wściekłością rzuciłam telefonem o drzewo.

- Co za badziew! - powiedziałam na tyle głośno, że aż Bary odwrócił się przestraszony.

Szłam dalej przed siebie coraz bardziej zaniepokojona. Przypomniało mi się jak parę lat temu spacerowałam tędy wraz z dziadkiem. Niestety to wspomnienie nie pomogło mi w odnalezieniu drogi. Pamiętam jak dziadek opowiadał mi wtedy, że niespełna sto lat temu w tym miejscu rozegrała się jedna z ważniejszych bitew Powstania Wielkopolskiego. Ponoć moi pradziadkowie też brali w nim udział. W domu dziadków widziałam kilka pamiątek z tamtych czasów oraz order, który pradziadek otrzymał za wyjątkową waleczność i odwagę podczas powstania.

Pozwoliłam dać ponieść się wyobraźni i marzeniom. Przez chwilę kompletnie zapomniałam o tym, że się zagubiłam i nawet nie zauważyłam jak na mojej drodze pojawiła się cała rodzina dzików. Stałam jak wryta i okrągłymi jak spodki oczyma obserwowałam stado zwierząt. Bary podkuł ogon i uciekł, zostawiając mnie samą. „To ci dopiero pies obronny....” -pomyślałam.

Locha z warchlakami ruszyła powoli w moja stronę. Spanikowana odwróciłam się na pięcie i zaczęłam biec ile sił w nogach w przeciwnym kierunku. Potykałam się o wystające gałęzie i nierówną ściółkę. Nie zauważyłam wystającego konaru, ukrytego pod fałdami śniegu. Zahaczyłam o niego nogą i runęłam jak długa w miękki biały puch. Pech chciał, że akurat uderzyłam głową w kamień i straciłam przytomność.

Obudziłam się. Nadal leżałam w lesie i już powoli zaczynała doskwierać mi niska temperatura, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczyłam dwóch mężczyzn idących w moim kierunku. Ubrani byli jak żołnierze, lecz nie jak ci współcześni z filmów wojennych. Obaj posiadali długie szare płaszcze i wysokie skórzane buty. Na głowach mieli okrągłe czapki, do których jeden z nich przypiął małego orzełka, a drugi biało – czerwoną rozetkę. „Takie same jak pradiadka”- pomyślałam. Każdy z nich posiadał starodawny karabin, a na prawym ramieniu żołnierzy znajdowała się opaska w barwach narodowych Polski. Mieli około dwudziestu lat, podobnie jak ja.

Zauważyłam również, że zmienił się i mój ubiór. Na miejscu sportowych butów i zielonej kurtki z jasnym futerkiem pojawiły się wysokie skórzane kozaki i długi, wełniane, brązowe płaszcze z postawionym kołnierzem. Na szyi miałam gruby czerwony szal, a nakryciem głowy był beret w czerwonej kratę.

- To pewnie szpieg - powiedział przystojny żołnierz o blond włosach.

- Musimy zabrać ją do kapitana - odparł jego towarzysz.

Obaj chwycili mnie za ręce i gwałtownie postawili na nogi. Oczywiście, próbowałam przekonać obu mężczyzn, że nie jestem szpiegiem. Chciałam się wytłumaczyć i dowiedzieć się, kim oni są. Niestety obaj milczeli, kompletnie mnie ignorując. Szliśmy w ciszy krętymi, leśnymi ścieżkami. Miałam szczerą nadzieję, że wojskowi zaprowadzą mnie w ciepłe miejsce. Ponieważ powoli zaczynałam tracić czucie w palcach u stóp.

- Niedługo będziemy u celu – odezwał się brunet, który był nieco niższy od swego kompana .

Zgodnie z treścią słów bruneta, po chwili dotarliśmy do obozu. Czułam się jak na planie filmu wojennego. Na niedużej polanie, niedaleko miasta, rozbito mnóstwo wojennych namiotów. Były one poustawiane w idealnie równych rzędach. Do drzew przywiązane były konie.

Wokół obozowiska kręcili się żołnierze, ubrani podobnie jak moja eskorta. Wojskowi zaprowadzili mnie do największego namiotu znajdującego się w środku obozowiska. W namiocie przebywał wysoki postawny mężczyzna w średnim wieku i z czarnym zarostem . Młodzieńcy zaszalutowali mu i zdali dokładny raport ze zwiadu po czym wyszli z namiotu. Wąsacz wskazał mi krzesło po przeciwnej stronie stołu.

- Jestem kapitan Stanisław Taczak. Dowodzę wojskami powstańczymi - odezwał się z powagą.

- Kim pani jest ? Proszę się przedstawić.

- Nazywam się Julia Kaczmarek. Jestem Polką i mam 23 lata. Urodziłam się w Poznaniu i tam mieszkam - odparłam trochę zmieszana i całkowicie przerażona.

Powoli dopadały mnie myśli, coraz bardziej utwierdzające mnie w przekonaniu, że cofnęłam się w czasie.

- Co pani robiła na terenie naszego obozowiska? - spytał ponownie.

Wątpiłam, że kapitan uwierzy mi w prawdziwą historię. Opowiedziałam mu trochę naciągniętą wersję tego co się naprawdę wydarzyło. Kiedy skończyłam swoją opowieść, dowódca wojsk powstańczych wpatrywał się we mnie przenikliwym, surowym wzrokiem. Po chwili zawołał jednego z swoich podwładnych – blondyna, z którym zdążyłam się już poznać. Kazano mi opuścić centrum dowodzenia w towarzystwie jasnowłosego chłopaka, który zaprowadził mnie do jednego z ciasnych i mało wygodnych namiotów. Naprawdę byłam dość zdziwiona tym szorstkim traktowaniem. Gdy siedziałam sama w namiocie, jeden z żołnierzy przyniósł mi ciepłą rację grochówki. Posilając się, ewidentnie doszłam do wniosku, że kapitan Taczak nie uznał mnie za szpiega. Żadne straże nie stały przy moim namiocie, nikt mnie nie pilnował. Zauważyłam, że mogę opuścić teren obozowiska kiedy tylko zechcę.

Zapadł zmrok. Zmęczona położyłam się na jednej z prycz i zaczęłam analizować wydarzenia, które miały miejsce tego dnia. Od mężczyzny, który mnie odprowadził, udało mi się wydobyć pewne istotne dla mnie informacje. Pierwszą było to, że miał na imię Zbigniew. Jego namiot znajdował się w południowej części obozowiska. Druga informacja dotyczyła tego, że jest dwudziesty ósmy grudnia 1918 roku i właśnie znalazłam się w samym środku Powstania Wielkopolskiego! Myśli w szalonym tempie krążyły po mojej głowie. Niestety zmęczenie także dawało mi się we znaki i powoli i zaczęłam oddalać się do krainy Morfeusza, zapadłam w długi, głęboki sen.

Obudził mnie głośny hejnał grany na trąbce. Niechętnie wysunęłam głowę z namiotu i zaczęłam obserwować krzątających się po obozowisku kawalerzystów. W mroźnym grudniowym powietrzu czuć było napiętą atmosferę. Jakby wszyscy czekali na jakieś bardzo ważne wydarzenie. Postanowiłam opuścić swoją pryczę i dowiedzieć się co się dzieje. Szybko znalazłam Zbigniewa, który składał swój namiot i pakował go do juk na swoim koniu.

- Zbyszku ! - Zawołałam i podbiegłam do niego. - Co to za zamieszanie, czemu wszyscy są tak podekscytowani?

- Doszły do nas wiadomości - odpowiedział rozradowany. - W Rakoniewicach powstańcy odbili atak Niemców. Teraz ruszamy do Wolsztyna, żeby pomóc pozostałym.

- Jadę z wami! Pomogę wam - zdecydowałam spontanicznie.

Oczywiście było wiele osób, które się temu sprzeciwiały. Na szczęście jednak, potrafiłam przedstawić im dużo mocnych argumentów dotyczących słuszności mojej decyzji. Po chwili siedziałam już na wielkim siwku o imieniu Tulipan. Jechaliśmy zwartym kłusem w stronę Wolsztyna. Po długiej podróży, moje pośladki i nogi płonęły żywym ogniem. W dodatku okazało się, że powstańcy, którzy już od południa szturmowali Wolsztyn, skutecznie wyparli Niemców z miasta, zadając im poważne straty. Niedługo po tym wrogowie wnieśli o zawieszenie broni. Kapitan Taczak po dotarciu do celu zarządził, aby zatrzymać się na odpoczynek, na przedmieściach Wolsztyna. Sam zaś ze swoim najbliższymi doradcami udał się na wspólną naradę z przywódcami innych oddziałów. W czasie, gdy żołnierze kapitana poluźniali popręgi swym koniom, ja wraz z Tulipanem ruszyłam pozwiedzać okolicę. Nigdy nie byłam cierpliwą osobą, a beczynne stanie i czekanie na rozkazy zupełnie nie było w moim stylu. Muszę przyznać, byłam mocno przestraszona wizją, że za niedługo wezmę udział w prawdziwej bitwie.

Wjechałam do opustoszałego, głuchego miasta. Ze strachem obserwowałam okolicę. Niespodziewanie zza rogu ulicy wyłonił się niemiecki żołnierz. Na szczęście mnie nie zauważył. „Nie powinien się on znajdować w tej części miasta” - pomyślałam. W tym momencie moja ciekawość zdecydowanie wygrała ze strachem. Zeszłam z konia i zaprowadziłam go do małej opuszczonej stajni. Sama zaś poszłam najciszej jak umiałam śladami niemieckiego żołnierza. Mężczyzna zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do wysokiego, budynku z czerwonej cegły. Wróg wszedł do środka, a ja chwilę po nim. Pomieszczenie, w którym się znalazłam było duże i mroczne. Na górę prowadziły schody. Z pierwszego piętra dobiegały stłumione głosy. Bezszelstnie poszłam w ich kierunku. Niestety trzeszczące schody ani trochę mi w tym nie pomogły. Kiedy byłam dość blisko aby zrozumieć słowa, deska pod moimi stopami głośno chrupnęła i złamała się na pół.

Serce podeszło mi do gardła. Głosy umilkły.

Niemcy pewnie uznali, że to może wiatr zakłócił ich spotkanie, ponieważ po dłuższej chwili powrócili do swej rozmowy. Zaczęłam teraz o wiele bardziej ostrożnie podsłuchiwać.

Z ich konwersacji dowiedziałam się, że zamierzają oni złamać tymczasowe zawieszenie broni. Planują bowiem zaatakować polskie oddziały, kiedy się tego kompletnie nie spodziewają. W tym właśnie momencie szybko opuściłam budynek, nie zwracając sobie głowy cichym poruszaniem się. Pobiegłam do stajni starając się ignorować głośne krzyki wroga i wystrzały z broni. Wskoczyłam na swego wierzchowca i pocwałowałam w kierunku obozowiska.

Kiedy dotarłam do polskiego obozu, ześlizgnęłam się z konia i pognałam do przybocznego kapitana, który w razie nieobecności dowódcy był jego zastępcą i przejmował dowodzenie. Opowiedziałam mu o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Zastępca kapitana skrzyknął cały oddział i po chwili całe wojsko było gotowe do wymarszu. Konie ruszyły galopem w kierunku centrum Wolsztyna. Po chwili z miasta zaczęły dobiegać odgłosy walki. Niemcy byli zaskoczeni oraz otoczeni. Już teraz widać było, że wróg traci siły i jest skazany na porażkę.

W tym czasie moim zadaniem było odnalezienie kapitana i poinformowanie go o położeniu naszego oddziału. Popędziłam konno w kierunku budynku dowódców.

Jakiś zabłąkany nabój z pola bitwy trafił w mojego wierzchowca. Tulipan wywrócił się wraz ze mną. Powietrze przeszło głośne rzenie pełne bólu i przerażenia. Koń przygniótł mnie swoim ciężarem i chwilę po tym straciłam przytomność.

Obudziłam się z mocnym bólem głowy, pierwsze co zobaczyłam to owczarka niemieckiego liżącego mnie po policzku. Pole bitwy, odgłosy walki i postrzelony koń zniknęły, a ja miałam na sobie swoje

współczesne ubrania. Z trudem wstałam na nogi. Ujrzałam rodziców idących w moim kierunku. Już z daleka słyszałam westchnienia ulgi i widziałam ich zatroskane twarze.

Kiedy wróciłam do domu zaczęłam bić się z myślami czy przygoda, którą przeżyłam odbyła się naprawdę. Leżąc w swoim ukochanym, ciepłym łóżku zastanawiałam się czy w całej historii Powstania Wielkopolskiego walczyły jeszcze jakieś inne kobiety. Jestem pewna, że tak.

Następnego dnia zadzwoniłam do dziadka Zygryda i spytałam go o rolę kobiet podczas powstania. Dowiedziałam się, że panie najliczniej brały udział w służbach sanitarnych i szpitalnych. Inną działalnością kobiet była aprowizacja, czyli zapewnienie żołnierzom ciepłego i sytego posiłku. Najbardziej jednak spodobała mi się wzmianka dziadka na temat tego, że płeć piękna zajmowała się także łącznością. Kobiety przekraczały linię frontu i współtworzyły wywiad, pozyskiwały i przekazywały informację. Naprawdę byłam pod wrażeniem tego co usłyszałam i teraz mogę z dumą stwierdzić, że wszystkie kobiety biorące udział w Powstaniu Wielkopolskim były jego cichymi bohaterkami.